

Widocznie statystyka źle rachowała. I my jesteśmy przekonani, że cyfry statystyczne dają najbardziej zbliżony do prawdy obraz stanu danego społeczeństwa. Ale to prawdopodobieństwo więcej ma wartości gdy dotyczy materialnej strony człowieka, niż gdy się odnosi do moralnej. Na czyny ludzkie działa nadzwyczaj dużo okoliczności i pobudki, których statystyka nie może ocenić. Ztąd i rozumowania jej nad czynami ludzkimi są bardzo ułomne. Tu właśnie należy być najostrożniejszym w odnoszeniu skutków do przyczyn; tu trzeba całej bystrości rozumu dla odróżnienia przyczyn ogólnych i stałych od przypadkowych; tu jest pole dla filozofa i wyższego męża stanu: ale też jest to sfera myśli, w której przez pośpieszne uogólnianie można dojść do najniedorzeczniejszych wniosków.

Nie weźmie nam za złe autor, żeśmy z całą swobodą zdanie nasze o jego pracy objawili; sądzymy bowiem, że jakkolwiek krytyka lepszą jest od bezwarunkowej *admiracji*. Chętnie uznajemy naukowe usposobienie p. Z. do poważnej pracy naukowej i jesteśmy przekonani, że jak tylko myśl jego wyswobodzi się ze spekulacyjnych powijków niemieckich, będzie korzystnie służył sprawie wyższego oświecenia.

Jakkolwiek z błędów gramatycznych nie sądzymy o wartości naukowej broszury p. Z.; radziłyśmy jednak wiedzieć, dla czego koniecznie pisze: punkty, instrumenty, daty (dane) zamiast punkta, instrumenta, dane (np. statystyczne cyfry, wypadki). Dlaczego u p. Z. zwolennicy lub trzymający się jakiegoś metody, nazywają się „przytrzymującymi się tej metody?” (str. 20 i 21). Rozprawa autora wygląda tak jak gdyby była tłumaczona i to mozolnie z niemieckiego: myśl nie płynie swobodnie, lecz z trudnością. Ztąd czytanie i rozumienie są nużące. Sądzymy, że przy tak gruntownej nauce jaką się p. Z. odznacza, dojdzie z czasem do samodzielniejszego myślenia i swojego pisania.

F. Krupiński.

---

*Pół-diable weneckie, powieść od Adryatyku, przez J. I. Kraśzewskiego. W Krakowie 1866 r. (w 8ce, str. 269).*

Konrad Lipiński, z rodu Wenecyanin, którego przodkowie zwali się Lippi de Buccellis, oddawna osiedli w Polsce, uszlachceni, gdy do rodowitej tarczy otrzymali białego Nałęcza: w chwili rozpoczęcia się powieści był sierotą, bo mu zmarł ojciec, i dzieźcem wsi Robuin w Poznańskiem. Dziad jego Bernard, zacny człowiek, ale dziwak, przez strojenie się w czasie uroczystych u siebie zebrań po włosku, i trzymanie do usług murzynka, zjednał sobie tak od sąsiadów jak od ludu przydomek *pół-djabła weneckiego*, który przeszedł na syna i wnuka. Staranne otrzymawszy wychowanie, znał zarówno dzieje i język dawniej przodków ojczyzny, jak i swój własnej.

Kiedy zawiązała się konfederacya Barska, młody Konrad przystąpił do niej, bił się jako prosty towarzysz, i wrócił do rodzinnego dworu; przez czas jego niebytności zarządzał gospodarstwem Pukalo z pod Kowna rodem, zacny i wierny sługa, a przywiązany serdecznie, który wynosił na rękach Konrada. Radość pocziwego Pukala była nieopisaną, kiedy powrócił panicz ukochany.

Konrad od chwili gdy wszedł w dwór samotny Robnina, zapadł w zadumę, a następnie ponury smutek. Miał tu wszystkie pamiątki swych lat dzieciennych i młodzieńczych, ale zabrakło tych co je ożywiali. Sam je zwiedzając obudzał w duszy swój żal za minioną przeszłością.

Jak zwykle bywa, pogwarze obozowego życia, przy ciągłym ruchu i oczekiwaniu walki, po wstrząśnieniach gwałtownych, widokiem krwawych zapasów; przejście nagle w zacisze wioskowe nie może dać upragnionego spokoju. Ten tylko spokój sielski ukochać i swobodnie używać może, kto tak burzliwego zawodu w kwiecie wieku nie przebył! Gdyby Konrad znalazł serca kochające ojca, matki, i rodzeństwa, z których pierwsi spoczęli w grobach, drudzy daleko w świat się odbili, jeszczeby odetchnął swobodnie; ale stary wierny sługa nie wystarczał za wszystkich; i młody panicz, coraz w większy zapadał smutek. Zbladł, zchudł, i osowiał! Tak przebiedował zimę, ale z wiosną przyszła mu myśl szczęśliwa odwiedzenia stariej przodków swoich ojczyzny Wenecyi: ta myśl go orzeźwiła, przywróciła mu zdrowie i wesołość. Wybrał się więc z siedemnastoletnim Maciejem, dla nbioru węgrzynkiem przewanym i sporym trzosem złotą w zamierzoną podróż, i na barce kupieckiej zwanój *Padre Antonio* kapitana Weneta, puścili się morzem.

„Już się byli nieco odsunęli od brzegów i trysteński amfiteatr wzgórzów piękną ich oczom malował się panoramą, gdy zpod desek okrętu, rzekłbyś z głębin morza, ze śpiewką na ustach, z hałasem i szumem wyskoczyła jakaś postać, wyrwała się raczej, stając jak zjawisko jakie przed oczyma zdziwionych podróżnych. Wszystkich też wejrzenia na nią się obróciły. Turcy podnieśli zwieszane głowy, Grecy zaczęli muskać wąsy, Żydzi powykręcali twarz, węgrzynek wstał aż na nogi, a pan Konrad osłupiał. Kapitan okrętu jakby na przyjęcie ochoczo plasnął w szerokie dłonie. Jakże opisać to zjawisko wodne, powietrzne, bo nie ziemsko wyglądające? Było to dziewczę lat najwięcej piętnastu, średniego wzrostu, zręczne jak sarneczka, kształtów pełnych, ubrane dziwacznie, ale tak cudownie piękne, że osłupienie Konrada całkiem usprawiedliwiało. Wszyscy zresztą patrzali na to trzpiotowate dziewczę z jednakowym zachwytem. Kto widział wizerunek Beatryx Cenci w jednej z galerii rzymskich, ten łatwo sobie wyobrazi te drobnutki, regularne rysy niezmiernego wdzięku, któremi się uśmiechała mała czarownica. Usteczka jej rumiane, podobne były do rozkrojonej wisienki, czy do dwóch świeżych róż listków, a oczy miała duże, czarne, śmiałe, zabijające ognistemi strzałami; płeć białą jak śnieg, włosy... no! włosy niestety były rude! Nie była to je lnak ta barwa przykro czerwona, krzykliwa, ale coś



nakształt bronzu i złota, jak u Wenery Tycyana: drogi ten kolor wene-  
cyankom ulubiony. który go sobie nadawać umiały sztuką, jeśli po-  
skąpiła im téj ozdoby natura. Na dziewczęciu wszakże znać było,  
że sobie główki nie wypiekała na słońcu, i nie wymęczyła warkoczy,  
które były aż do zbytku obfite, ogromne i długie, tak, że zdawały się  
ciężyc małej główce, którą opasowały kilkakroć węzłem wielkim mi-  
sternie uplecionym, spadając na pulchny karczek biały! Dziewczę  
ubrane było niewiedzieć jaką modą, ale bogato i strojnie; na nóżkach  
pantofelki żółte i złotem szyte, i jedwabne szerokie ubranie tureckie,  
na to rzucona sukienka z muslinu, potem płaszczyk cięższy aksa-  
mitny galonami lamowany. Oprócz tego miała na sobie kaftanik  
rozpięty, szyty bogato i pas z frendzlą złocistą spływającą do kolan,  
i czapeczkę na główce, a na rękach pierścieni, obręczy, a na szyi  
łańcuszków weneckich, jak pajęczyn... mnóstwo. Znać było, że się  
czuła piękną i lubiła stroić, że wiedziała, iż wszędzie podziwienie obu-  
dzi, bo się jakoś zaraz zwycięzko obejrzała dokola i z uśmiechem  
zwróciwszy się do kapitana spytyła go włoszczyzną wenecką, wska-  
zując na Konrada, coby był za jeden?

— *E un signore Polacco.*

Zdaje się, że wiadomość o pochodzeniu podróżnego zaciekawila  
dziewczę, które śmiało podeszło bliżej Konrada; wziąwszy się jedną  
ręką w bok, poczęło mu się przypatrywać uśmiechając.

Konrad był bardzo przystojnym, młodym mężczyzną, rycer-  
skiej postawy, a choć się na podróż nie stroił, niewypadało mu też  
ładajako wyglądać, więc ubrany był dosyć bogato i smakownie. Miał  
na sobie suknię z węgierska adamaszkową, z pętlicami złotemi,  
a na nią płaszcz bramowany bogato, który go dobrze osłaniał;  
czapkę z czaplem piórem, szablę piękną u pasa i turecki szal zamiast  
zwykłego przepasania. Twarz jego smutna, poważna, zamyślona,  
oczy ognia pełne, usta wyrazem łagodności pociągające, tworzyły  
zeń piękny wzór dla malarza. Dziewczę zdawało się to uznawać,  
bo mu się też długo i z uwagą przypatrywało, a Konrad topniał  
można powiedzieć od jęj wzroku. Gdyby chwilę dłużej byłby go  
może nie wytrzymał, bo mu krew falami do piersi biła i głowy.  
a rumieniec krwawy oblewał całego. Niewiedząc co z sobą robić,  
bo mu i ręce zawadzać zaczęły i nogi drżeć i suknie dolegać, sięgnął  
ręką do wąsa i pokręcił go machinalnie. Dziewczę widąc samo  
zrozumiało, że sobie tego nieboraka jakby pod pręgierzem postawiło.  
i rozśmiawszy się pierzechło ku kapitanowi, który z boku poglądał  
wesoło na to stworzonko kapryśne, ale nie okiem kochanka.. raczej  
troskliwego ojca i opiekuna."

Była to Cazità córka kapitana Zanaro i właściciela statku,  
na którym płynął nasz bohater. Ta urocza istota stanowczo wpły-  
nęła na dalsze losy i życie Konrada: rozkochany w niej, łatwo dał  
się odstręczyć trudnościami co do zamiaru pielgrzymki do Ziemi  
Świętej, dawniej przedsięwziętego. i po różnych przygodach uszczę-  
śliwiony został małżonkiem ubóstwionéj Cazity. Poczciwy Pukało,  
z przerażeniem się dowiedział o ożenieniu młodego pana z Włoszką,

niemniej tém dotkniętą została i klucznica, zarazem gospodyni zacna Murzynowska. Co było narad, rozmyślań, jak się z cudzoziemką potrafią rozmówić: co troski, aż ich przecie pocieszył proboszcz miejscowy, lepszą nadzieją. Nadeszła gruba jesień: i młode małżeństwo stanęło przed gankiem starego Robnińskiego dworu.

„W domu od trzech dni, jak na złość przepalane nie było... chłód przejmujący po pokojach. Na progu w ganku nikt nie przyszedł z chlebem i solą powitać... ale Konrad pocałował młodą piękną choć smutną i strwożoną małżonkę, przypatrującą się dziwnie temu domostwu poważnemu a smutnemu, które się zwało przyszłym jej domem. Po tamtym kraju jakże się wszystko wydawało dziwnie, smutno, chłodno, dziko; ludzie jacyś zbiedzeni, niebo szare, kraj płaski, wody ubogie... a jak na złość nawet w tej porze ani zieleni ni kwiatu! Na jej twarzyczce wdzięcznej znać było walkę, którą odbyła, nim opuściła ukochane *Lido*, brzeg Adryatyku i pływającą po morzu ojczyznę swoją. Zbladła, osmutniała, tęsknotą była obleczoneą od stóp do głów. Jemu radością świeciła twarz, on oddychał raźniej z każdym kamieniem, drzewem, śmiał się do ludzi i ścian; ona coraz wyglądała smutniejszą, niemogąc tej radości podzielać.

„Cazicie jedno zdaleka widne jezioro podobało się... woda przypominała jej ojczyznę, uśmiechnęła się jak do stariej młodych lat przyjaciółki. Mimo chłodnego powietrza uprosiła, że doszli aż do brzegu i stanęli przysłuchując się szumowi fali, ale po chwili pobladła smutna.

— Słuchaj, *mio caro*—rzekła—to coś okropnego, ta woda inaczej się odzywa i co innego mówi... głos jej zimny, macoszyn nie mojej matki Adryi... nie. Ja nie rozumiem nic, to język wasz... obcy.. to woda jakaś inna... smutna.

Zaczerpnęła jej dłoń i rzuciła na ziemię.

— Jaktó!—zawołała—taka przestrzeń wody bez odrobiny soli. . mojej fali znam smak ostry i szczypiący... ta... zepsuty... czy ją mróz wasz wygotował?

Zamilkła, bo Konrad posmutniał. Uczepiła mu się na ramieniu.

— Cóż robić—szepnęła—to twoja ojczyzna... chciałeś, bym jej spróbowała, żyć bez niej nie możesz... a ja... ja—dodała tuląc ręką bijące serce—ja bez mojej, dla ciebie... spróbuję!”

Nadeszła zima. Czaita dziwiła się nieznanym obrazom śniegu, lodu, widokom drzew obmarzłych... ale tęsknota coraz więcej ją gnębiła. Zasłabła, pobladła, poczęła kaszleć, płakała tylko, a gdy ją Konrad starał się uspokoić, szeptała mu jedno:

— Odwieź mnie tam! tam! niech tylko popatrzę na Adryatyk, niech odetchnę mojem powietrzem, pobiegnę do mojego ogródka, będę zdrową!

Konrad wyjazd odkładał do wiosny, a gdy pierwsze jej dni nadeszły, Czaita zaczęła naglić, a on z dnia na dzień zwlekać, bo mu tęskno było opuszczać wiosnę z rodzinnego dworu. Wreszcie widząc jak ukochana małżonka co dzień 'niknie, postanowił wrócić



do Wenecyi. Stary Pukało płakał i wróżył, że swego pana już nie zobaczy, wiedziony proroczym natchnieniem.

Widok morza i Wenecyi przywrócił Cazyce siły, zdrowie, i wesołość: ale za powrotem do swego domku, nie znalazła ojca, co jej radość zmniejszyło. Wkrótce, w nadziei rychłego jego powrotu orzeźwiała jak dawniej. Konrad posmutniał; tęsknota wycisnęła swe piętno na zaszpeconém obliczu. W oczach nikł, sechł i bladnął, chociaż nie czuł się ani chorym, ani się na cierpienie skarżał. Świat mu powoli obojętniał, ochoty do życia coraz bardziej brakowało. Myślą wracał do ojcowskiego dworu w Robbinie, do dzielnego swego wierzchowca, do szumu drzew starych, co cieniły jego kolebkę, do pól falujących zbożem, i prostej wieśniaczej piosenki, którą echo tak wdzięcznie daleko roznosi. Ojciec Cazyty kapitan Zanaro, po smutnych przygodach wrócił, i radość była powszechna. Ale nie uczuwał jej biedny Konrad; był to cień tylko dziarskiego młodziana. Cazyta wreszcie dostrzegła tak wielkiej zmiany: domek na Lido był dla niej ożywcym, dla Konrada zabójczym; postanowiła więc jechać do Polski. Smutnie uśmiechnął się biedak i rozradował.

Maciek ów węgrynek, przechodząc smutne koleje, i szaloną miłością ukochawszy powabną Włoszkę, zdradzony, przy dawnym panu posługiwał, i był mu nieodstępny towarzyszem. Konrada opuszczały siły, wreszcie krew rzuciła się ustami, raz i drugi. Już łoża teraz opuścić nie mógł, i o podróży dalekiej myśleć. Czuł ostatnią godzinę i gdy żona z ojcem na gondoli używali przejażdżki, kazał Maćkowi przywołać znajomego kapucyna z pobliskiego klasztoru, i wypowiedział się jako umierający.

„Zaraz po księdzu wcisnął się Maciek, siadł na ziemi w nogach łózka.

— A która tam godzina?— zapytał Konrad.

— O! już słońko dobrze zaszło, odparł żywo chłopak, bydelko powróciło z paszy; Pukało obszedłszy obory idzie, zdrowaśki mrużąc na folwark do wieczery. Stefanek poszedł też pewnie okiennice pozamykać we dworze, a na plebanii i księżyna odmawia brewiarz...

Tu zatrzymał się Maciek, a Konrad dodał żywo:

— Mów, mów; co ci się tam więcej śni:

— Ano, już chyba więcej nie wiem — rzekł Maciek — żaby skrzeczą w sadzawce, i jezioro się kolysze, bociany do snu posiadaly. Burek chodzi i burczy... cicho! cicho! tylko ode mlyna turkot słychać jak tam koła szumią i turkoczą, a na wsi może gdzie pastuszki śpiewają. Na Anioł Pański dawno przedzwonili.

— A we dworze?— spytał Konrad.

— Pustka, panie.

— Zegar idzie?

— O ten się nie zająknie pewnie.

— Która godzina?— począł Konrad.

— Ciemno dobrze... ino nie wiem—dodał chłopak czegoś przełękły—czemu oni nie powracają.

— Mów o Robninie—poprawił go Konrad.

— Może świece zapalić?

— Tak, dobrze—słabym głosem zawołał Konrad, przed N. Paną zmówimy konfederacką litanię... Ale spojrzno, czy nie wracają? Albo nie, mów mi o Robninie.

Chłopak skrzesał ognia i zapalił świecę: dziwnie mu się blade wydała twarz pana, dziwnie straszne uczuł po sobie dreszcze i trwogę w duszy. Nastawił ucha, myślał, że posłyszysz plusk przybijającej do brzegu gondoli, ale cicho było jak w grobie. Konrad zdawał się drzemać: na palcach chodził Maciek koło niego. Podniosły się powieki ciężko.

— Maćku—rzekł—co tam w domu?

— Śpią, panie!

Chłopak przysunął się do łóżka, chudą, kościstą rękę dobył z pod okrycia Konrad, poszukał wkoło i podał mu woreczek.

— To dla ciebie—rzekł—abyś miał o czem powrócić do domu.

— A! mój panie drogi, przecież my razem pojedziemy. Chory tylko potrzęsnał głową.

— Weź—rzekł—i daj mi rękę—tak! dziękuję ci... niech Bóg szczęści i błogosławi.

Maciek coraz niespokojniejszy, szlochać począł: przykląkł przy nim.

— Co ty się tam trwożysz—począł Konrad—nie ma czego. Jam zdrow! mnie już dobrze, tylko mi się bardzo, bardzo... spać chce. Siadaj przy mnie, zaśpiewaj co naszego... pocichu... a ja się zdrzemnę. Maćkowi nie na śpiew się zbierało, oczy ocierał i modlił się. Konrad zdawał się usypiać. Nagle pochwycił się, spojrzał na chłopca, siadł i począł mówić słabym ale prędkim głosem:

— Słuchaj, co tam się stanie ze mną, w woli Bożej; jeślibyś został sam, nie mieszkaj tu dłużej, jedź do domu, do swjej chaty. Powietrze tu nie zdrowe, ludzie inni, serca dobre, ale inne, o nie nasze. Myśmy nie stworzeni do ich życia, ani oni, żeby nas zrozumieć mogli. Wracaj mówię ci bo nie wyżyjesz. I znowu pochylił się na poduszki.

— Zrozumiałeś? spytał. Maciek płaczem tylko odpowiedział.

— Co tu żyj pomagą—wyszeptał chory—nie masz czego jeszcze płakać, to babska rzecz.. wstydz się. A po chwili znowu spytał: —która godzina? Co tam u nas robią? Czemu oni nie wracają? Wszak na dworze pogoda?

— Pogoda, panie.

— Świeci księżyc?

— Jeszcze nie wszedł.

— Tu nie taki księżyc jak u nas.

— Tak! u nas piękniejszy—potwierdził Maciek.

I było potem milczenie... chłopiec przysłuchiwał się ciężkiemu oddechowi pana, który się zdawał usypiać powoli; ale oddech ten coraz cichł, ustawał, i zupełnie go w końcu slychać już nie było... Bo nie było już i duszy Konrada na świecie."

Tak zakończył życie dzielny młodzian. Gdy spoczął w mogile nad Adryatykiem, Cezita pocieszyła się wprzódce oddając rękę innemu. Maciek, nieusłuchawszy przyjaznej rady Konrada zmarniał w Wenecyi. W Robninie, po nadeszłej wiadomości o śmierci młodego pana, poczcziwy Pukało zmarł wprzódce: nie mógł przeżyć tego ciosu.

Taką jest treść powieści J. I. Kraszewskiego, z której mnóstwo ubocznych epizodów opuściliśmy, mając na myśli wybitny jej cel i postacie. Powieść ta należy do najlepszych utworów w tym rodzaju naszego autora. Główna jej myśl jak i dążność jest zacną i szlachetną a wyraźnie oparta na wielkiej prawdzie, znajomości charakteru rodzinnego. Konrad, pomimo pochodzenia z przodków włoskiego, zachował wszystkie cechy ziemian naszych. Pierwszą miłością silną i gwałtowną ukochał czarującą istotę, nie przewidując, że silniejsze uczucie nad tę miłość chowa w głębi swej duszy. I to uczucie ochłodziło zapal serca: — pragnienie gorące życia pod rodzinną strzechą, oddychania ojczystym powietrzem, wpatrywania się w oblicza sobie znajome a przyjazne, stały się na obcej ziemi jedyną potrzebą dla niego. Ściany Robnńskiego dworu dawniej puste, teraz oblokły się czarownym powabem. Uchodził z nich z tęsknotą, z większą chciał wrócić do nich, bo czuł, że wtedy tylko odetchnie całą piersią swobodnie. A gdy trawiony tą gorączką wewnętrzną nie spełnił na razie zamiaru powrotu tak upragnionego, padł sam ofiarą, bo miłość kobiety nie potrafiła ukoić potężniejszego uczucia.

Ustępy, jakie przywiedliśmy w ciągu sprawozdania z tej powieści, dadzą wyobrażenie czytelnikowi, jak jeszcze J. I. Kraszewski młodem piórem włada, jak umie malować poetycznie tak obrazy z natury wzięte, jak postacie, i ich duchową stronę; czarowny urok porywa czytelnika i pociąga do odczytania bez przerwy tego utworu, który przewodnią myślą, w tak powabnej szacie, staje na właściwej wyżynie, pomiędzy wielą innemi powieściami.

K. Wł. W.

*Listy Władysława IV do Krzysztofa Radziwiłła, hetmana polnego W. X. Lit. pisane 1612—1632 r., z autografów Biblioteki Cesarskiej w Petersburgu, ogłosił Ant. Muchliński. Kraków. Wytłoczono u Wład. Jaworskiego, Nakład i własność Żelmana Igl. 1867. 8-vo. str. VIII i 136.*

Na czele książki czytamy w tak zwanym „Przypisku wstępnym” co następuje: „Listy następujące, których szereg ciągnie się od r. 1611 do 1632, wypisane zostały z Cesarskiej Biblioteki w Petersburgu, do której się zapewne z Nieświeża dostać musiały. Zbytecznem byłoby dowodzić ich znaczenia dla historii kraju i biografii Władysława IV-go. Sześćdziesiąt kilka listów pisa-